

Janusz Likowski

Ilustrował J. Baszkowski

Opowiadanie majora Wołkowa

— Bronić Rad! — huknęli żołnierze.
Było w tym okrzyku coś zachępnego, chociaż jego dźwięk w białych nie wyglądał na chętnego do ataku na Radę.

Pan w białych wrócił przedko na chodnik i znikł w bramie przed oknami ustawionymi, nie uciekniesz.

— Znikaj, znikaj. Jak ci haubice przed oknami ustawimy, nie uciekniesz.

Przed Radą hok panował nie do opisania. Zewsząd ciągnące kolumny rozlały się po rozległym placu, mieszały z robotnikami, którzy przychodzili do Komitetu Wojskowo-Revolucyjnego po rozkazy, po broń. Ale karabinów nie było.

— Papier masz? No to dawaj. Ja stawiam tytoń.

Andrzej wyjął z kieszeni ulotkę, która głośno, że cała władza przechodzi do Rad, a z niej do chłopów, że zostaje niesiony wszelki ucisk klas i narodów. Ulotka odbita była na hektografie niedużo, pośpiesznie. Litery zamazywały się, tworzyły tłuste plamy. Nim skręcił grube papierosy, posiadacz tytoniu przeczytał uważnie krótkie zdania, jakimi zamknięto zasadniczą treść rewolucji.

— Ziemia dla chłopów. Dobrze. Mówili już u nas o tym. Wolność narodów. Także dobrze. Władza Radom. Racja. Rady, to my! — żołnierz stuknął się dłonią w pierś. — Dawaj ognia!

Wołków wyciągnął zapalnik. Chroniąc płomień od wiatru, pociągnął grzącego dymu, bo w żołnierskiej kieszeni przebiegł nie tylko tytoń się gromadził.

— Ty dawno służysz? — zagadnął Andrzej.

— Ja? — żołnierz zsunął czapkę na czoło. — Od czterech lat. Trzy lata na froncie. Na bruchu wszy mnie tak gryzły, aż blizny zostały... Nie wierzysz?

— Zostaw, zostaw, nie pokazuj. Bez tego wierz.

— No to wiedz, że tego wojowania mam już dosyć. Powołuję jeszcze za Radę, żeby się z tymi carskimi wżmami wyrównało, a potem wracam.

— Skąd pochodzisz?

— Z Białegostoku.

— Polak?

— Polak.

Ciemne oczy Andrzeja patrzyły na żołnierza, a myśl pracowała gorączkowo nad praktycznym zastosowaniem dopiero co słyszanych haseł pełnych słów, których dokładnego sensu jeszcze zupełnie nie zgrębił.

— To wy, Polacy, teraz będziecie się samokreślać? Tak?

— Ano.

— I burżujów wypędzicie?

— Wypędzimy.

— Ty morowy chłop! — wykrzyknął Andrzej. — Jak ci na imię?

— Piotr Cwiertniak. Pietka, rozumiesz...?

— Rozumiem. No to my za te nasze Rady!

Andrzej Wołków sięgnął pod szynel, gdzie nosił na pasku zawieszony chlebak. Oprócz granatów schował tam butelkę spirytusu, owiniętą w szmaty, by się nie potłukła. Z kieszeni wyciągnął mały cynowy kubeczek, jaki nosili w polu carscy oficerowie i nalał doń spirytusu.

Wokół siedzących zebrała się gromadka żołnierzy.

— No, dawaj nam też! — powiedział jeden.

Andrzej butelki by nie uratował, gdyby od strony budynku Rady nie przybiegł ktoś z Komitetu Wojskowo-Revolucyjnego.

— Towarzysze! — wołał — jedziemy po karabiny.

— Hurra!

W okolicy Kremla pracowały już maksimy, rzucając w

wyloty ulic snopy jadowitych serii. Strzelano już w całym mieście. Andrzej z Piotrem wsiadli na jedną platformę, która szybko ruszyła na dworzec kolei Kazańskiej. Na platformie chwycili się w kilku pod ręce by utrzymać równowagę, gdyż źle resorowana ciężarówka straszliwie rzucała. Strzelanina wymiotła ulice z przechodniów. Rzadko tylko z wyższych pięter czynszowych kamienic wyglądała zza firanki okna przestraszona twarz.

Wagony z karabinami stały wewnątrz warsztatów, dokąd je wpełchnęli kolejarze, gdy czerwonogwardziści Markin odkrył znajdującą się w nich broń. Markin stał teraz przy bramie i opowiadał żołnierzom.

— „podważyłem górne okienko. Wsadzam karbidówkę, a tu karabiny. Zaraz włożę do wagonu i do komitetu...”

Czerwonogwardziści byli zadowolony z siebie. Znal sytylację i wiedział, że broni powstanców nie mieli dużo. Te karabiny mogły wygrać rewolucję w Moskwie. Całą noc rozwodził się Piotr i Andrzej po wszystkich dzielnicach. Następnego dnia rano dowiedzieli się, że z żołnierzy ich pułków — 55 i 85 formuje się oddział bojowy. Poszli więc przed Radę.

Budne, geste chmury pokryły niebo i ciążyły nad szarym, jesiennym dniem. Wyglądało, że będzie padać deszcz lub śnieg. W Radzie pracowano przy zapalonych światłach, ubrodzeni ludzie kretili się po wszystkich pokojach, żołnierze, cywili, czerwonogwardziści. Kilka ubikacji zajmowanych przez Komitet Wojskowo-Revolucyjny, strzeżonych było warta.

Plan walki z wojskami Riabcowa był z grubsza gotowy. Starcia zbrojne już się zresztą zaczęły. Strzelano do szkoły Aleksiejewskiej, huczało jakieś działo na Lefortowie, a na plac Strastny żołnierze razem z czerwonogwardzistami ciągnęli połówkę. Miała ona nadzwyczaj pociskami budynek naczelnika miasta na bulwarze Twerskim.



Był to ogromny gmach, którego tyły wychodziły na Wielki Mały zaułek Gniezdniowski. A więc niemal o krok od rewolucji proletariackiej w Moskwie — Komitetu Wojskowo-Revolucyjnego. Pułkownikowi Riabcowowi nie można było odmówić talentów wojskowych. Znal się on na swojej carskiej służbie dobrze. Dlatego rozumiał, że obsadzenie gmachu i zagrożenie ośrodkowi kierowniczemu powstania jest sprawą pierwszorzędnej wagi. Wzmocnił więc i tak dobrze uzbrojony

zalogę 200 białych oddziałem konnej milicji, posłał kompanię junkrów z dwoma karabinami maszynowymi, oraz dwa oddziały studentów.

Taki był stan sił obleganych. Rewolucjonści poza żołnierzami 55 i 85 pułku dysponowali rowerzystami i doskonale przygotowanymi politycznie czerwonogwardzistami fabryki Michelsona, no i połówką na placu Strastnym.

Żołnierze stali na placu stworzonym przez rozszerzenie nie regularnego zbiegu czterech ulic. Wszyscy posiadali karabiny, kilkunastu miało załknięte za pasem granaty. Przyszli także czerwonogwardziści ubrani w załuszczone smarami ubrania, wysokie, niezdarnie papachy i juchtowe buty, nierządno łałane domowym sposobem. Tylko opaski na ramionach były czyste, widać dopiero co założone, bo plamy stępły były czarne, o ostrych konturach. Jeden z robotników w znoszonej kurcie z kołnierzem futrzanym, z którego wypadła połowa sierści, o wąsach czarnych, stał otoczony żołnierzami i opowiadał:

— Czekamy na podwórze fabryki, a tu jakiś hałas na ulicy. Wybiegam przed bramę, patrzę, babę trzymającą za pół jakiegoś jegomościa. Wyglądał ani na białego, ani na czerwonego. Ot taki niłaki. Szary... tłu! Wyrwa się babom, więc my do niego. Cóż to towarzyszyki? A one drą się jedna przez drugą. Szpieg! Kornilowiec. Takie te nasze kobiety, takie...

Robotnik obtarł usta, wierzchem dłoni i przyglądał się z zadowoleniem wosk.

— No i co dalej było, gadaj! — przypomniał żołnierz z wypchanym do ostatnich granic chlebakiem.

— My, cacia na muchę. Trzymaj ręce do góry bratku, taki owaki, tłu! On się trzęsie jak galareta, a ja mu za pazuchę. Białe się zwija i kręci. Ja mu byłem w bok. Cicho ty sobaczku synu! Siegamy, a tu bibula kontrowolucyna.

— A to gad. Ulotki rozrzucał — przygadnął żołnierz.

— Co ty, pieciesz? Na Preś! Biała bibula rozrzucał? — oburzył się czerwonogwardziści.

— Dobrze sobie. Gadał tylko. Agitował niby babę, żeby mężów nie puszczały do rewolucji a do łóżek, pod piernaty. To one go za pół. Pogryzły, przekłate, podramyły i do Komitetu. Kobita jednego od Michelsona, rozdziałała dechę i do niego: „Jak ty przeciw Radom, to za burżujami, przeciw nam. Tłumacz się z tego bratku w Komitecie...”

— A to uświadomione babka — stwierdził z ukontentowaniem żołnierz z wypchanym chlebakiem — widać, żeście gruszek w popiele nie zasypali.

Czerwonogwardziści wyjął nierz w poczuć, że w tej robocie i jego udział tkwił. Coś chciał jeszcze powiedzieć, lecz z dachów wysokiego domu gruchnęły strzały.

— Do bram, do bram! — krzyczano naokoło.

Na uciekających sypały się kule. Jeden z żołnierzy leżał na środku placu. Ręce miał skurczone pod siebie, jakby chciał zastąpić miejsce, gdzie kule białych rozdarły mu ciało. Z chodnika ciekła na asfalt ulicy strużka krwonośnej od razu krwi. Kilku innych także oberwało. Jednemu z robotników kula strzaskała rękę. Wychrulić się z bram nie było można, bo od razu odzwalała się maszynówka. Żołnierze próbowali strzelać zza futryn okien. Junkrzy umieszcili się jednak na dachu za nadburżujkami, więc z dołu nie sposób było ich trafić. Do Andrzeja Wołkowa podbiegł tego towarzyszy z osiemdziesiątego pułku go pułku Sasza Bielgow.

— Andrieusz! — wołał — zabieraj ze czterech i maksima. Wykurwmy junkrów. Przecież tyłami i na nich z góry!

Żołnierz był podniecony swoim planem. Istotnie, po-

myśl wydawał się doskonały. Jeden z sąsiednich pałacików magnackich był zakończony wysoką spiczastą wieżyczką, dosyć obszerną, by pomieścić maksimę z obsługą. Wieżyczka nie miała praktycznego zastosowania i po raz pierwszy od jej postawienia miała się do czegoś przydać. Piotr z Andrzejem wciągali z jeszcze dwoma znajomkami Saszy ciężkie karabiny wąskimi schodami. Ostateczny odcinek przechodził niemal w strumą drabinę. Pierwszy dostał się na górę Piotr i ostrożnie wyjrzał. Junkrów widać było jak na dłoni. Leżeli za stalową osłoną maksima na lekko spadającym w dół dachu. W ten sposób mieli niemal cały plac pod ostrzałem.

— Widać ich. Prędkiej towarzysze.

Jeden z żołnierzy pobiegł z powrotem i przyciągnął stół, na którym ustawiono maszyny. Tylko czubek lufy wystawał się przez wybite



przypadkową kulą małe okienko.

— No, Andrieusz białych na muchę, — zakomenderował Sasza.

Piotr założył taśmę, Andrzej wprowadził pocisk do lufy i nacisnął spust. Pierwsza seria zmiołła dwu junkrów. Dwaj pozostali rzucili się do otwartego wyłazu, lecz Andrieusz natychmiast przeniósł ogień.

— Wal, nie żałuj, nie żałuj — gorączkował się Sasza.

Jeszcze jeden junkier podniósł się z dachu i biegł do wyłazu. Czerwony cekaem zagadkał, lecz o ułamek sekundy za późno — biały zniknął w czeluści otworu.

— Trzymaj pod ogniem. Reszta za mną.

I pobiegł na dół. Na placu wysypali się już żołnierze. Andrieusz wdział przez okienko, jak zbierają się wokół Saszy, a potem gromadą biegła do bloku domów, skąd padały strzały. Kilku zostało na chodniku trzymając pod pachami karabiny. Trwało kilka chwil nim wyprowadzono jednego ocalałego junkra. Trzymając ręce podniesione do góry szedł w gromadzie popychających go kołbami rewolucyjnych żołnierzy. Przed nim kroczył Sasza i głośno krzyczał.

— Zostawcie go. Gad nam nie umknie, ale trzeba do sztabu. Co się pchasz, głupi — ryknął na napierającego, starszego żołnierza — białego nie widzicie?

— Czego prowadzić. Łupnąć w łeb i po kłopotach.

— Nie wolno! Sztab musi mieć języka. Rozumiesz? Głupia pała? Strategii nie zna, a mądrze się jak sztabskaptan. Rozejdźcie się towarzysze, bo jeszcze niejednego junkra będziecie oglądać. Nie ma na co patrzeć.

Sasza Bielgow rozkazał dwóm żołnierzom odprowadzić jeńcę do Rady, a trzem dalszym znieść na dół karabin maszynowy Andrieusza. Tymczasem na plac przysłał delegaci Komitetu. Podeszli do Bielgowy i klepali go po plecach.

— Dobrzeście się spisali, do wódco.

— Jakby inaczej — zadarł Sasza głowę do góry — i bez oficerów znamy się na strategii.

— Ot, znaleźliśmy sobie stratega — zakpił sobie jeden z przybyłych, ale zamilkł zobaczysz spojrzenie młodego żołnierza.

Trwało jeszcze z pół godziny nim rozdano między oddziały zadania i wytłumaczono co każdy ma robić. Półkampania miała dowodzić Sasza. Znaleźli się w niej także Andrzej i Piotr, teraz już niemal przyjaciele.

Zadło swego maksima wysunęli zza drzewa, uprzednio upewniwszy się, czy nie mogą się dostać pod kule białych. Po lewej stronie ciągnął się bulwar Twerski, wzdłuż którego rosły stare, kilkudziesięcioletnie kasztany. Sypały się z drzew ostatnie liście, żółtkie, martwe, a wiatr ciągnął przejmujący. Karabin maszynowy białych kosił strumieniem pocisków po drzewach i liściach, siekł zeschłe białe kwiaty, które posadził ogródnik między nim i wojny i rewolucji.

Na placu Strastnym wpakowały w gwardziel działa smukłe pociski z miedzianymi kołnierzami pierścieni.

— Ognia!

Piotra oślepił krwawy błysk,



głęgiego piętra gmachu obsypywał się tynek i gmach.

— Jeszcze raz!

Gruchnęły czerwone maksimy. Piotr leżał niedaleko maszynówki i wybierał karabinem co bardziej lekkomyślnych junkrów, którzy w czasie strzału wychylali się z okien. Była druga godzina w południe. Do czwartej bez przerwy pracowała połówka na placu Strastnym posyłając co trzy minuty pocisk na białych. W gmachu czerniały dziury od detonacji, na ostatnim piętrze powstał pożar. Dym walił czarny, a z najwyższych okien, pod samym strychem, wychylały się brudne języki płomieni. Powstańcy słyszeli okrzyki białych gaszących pożar. Sasza Bielgow cofnął się do dowodzącego akcją delegata Komitetu Wojskowo-Revolucyjnego.

— Towarzyszu dowódco. Trzeba atakować. U białych panika. Goście tylko z połówki i szturmem.

— Dobrze, dobrze. Nie gorączkuj się tylko. Uważaj teraz: po drugiej stronie leży oddział czerwonogwardzistów. Oni pierwsi szturmują. Jak wypadną, trzymaj pod ogniem okna. Nie popuść ani na chwilę. A potem ruszajcie.

Polówka zwlekła ogień. Granaty uderzały teraz jeden za drugim. Bili w mury, rozpruwały cegły, wyrzucały odpryski aż do oblegających. Andrieusz nie zalaował taśmy. Nachodziło pierwsze dotknięcie zmięczenia, który zasnuwał mgłą przedmioty, oddalał je od oczu, zamazywał. Po drugiej stronie rzeki płonął dom. Spośród ostрых dachów strzelał ku niebu słup dymu w którym odbijały się słabe refleksy ognia.

Czerwonogwardziści wypadli tak nagle, że nawet Andrieusz to zaskoczyło. Przeskoczył progi bulwaru i krzyżąc puścił się prosto na gmach. Andrieusz walił ciągłym ogniem po oknach, po dziurach od granatów artyleryjskich. Biali zaskoczeni gwałtownym atakiem za późno wzięli się do obrony. Większość oddziału umieszcili poprzednio na pierwszym piętrze, a parter był słabo obsadzony. Kolby czerwonych poszły w ruch. Słabe, pospieszne

(Ciąg dalszy na stronie 2)

Opowiadanie majora WOŁKOWA

(Dokończenie ze strony 1)

Zabezpieczenie okien deskami, szafami i innymi meblami puściło podsilnym uderzeniem robotników. W otwory rzucano najprzód granaty, a potem siebie. Wszystko trwało kilkanaście sekund. Sasza pchnął swoich na pomoc czerwono-gwardzistom.

— Hurra! Hurra! — rozdzierał gardła.

Przez wybite otwory krzycząc głośno wlewali się żołnierze — splecioną fala rewolucji. Biali opanowani w pierwszej chwili paniką zabarykadowali się na pierwszym piętrze. Cztery klatki schodowe były brzońskie karabinami maszynowymi.

Piotr wdarł się zaraz za Biełgowie. Ogluszające ujadanie cekaemu zatrzymało ich w szalonym impetie. Stanęli za żalonym ścianą, w wielkim hallu wyłożonym płytami białego marmuru z szarymi i czerwonymi żyłkami. W połowie wysokości na półpiętrze leżał zabity przed chwilą gwardzista. Krew barwiła białe marmur schodów, wypadły z ręki karabiny stoczyły się na oścież, najniższy stopień. Wyżej iść nie było można.

Piotr zniknął, a wróciwszy odszukał Saszę.

— Jest przejście. Kuchenne. Junkrzy nie pilnują, ale maksymalnie nie przedzignię. Wzmę kilku i granatami w białych. Ty atakuj wtedy z dołu.

Krętnymi schodami, do których wejście prowadziło z nieoświetlonej sieni, wdarł się na pierwsze piętro. W kuchni, ukryci za plecami czatowali junkrzy. Piotr trzymał w rękach granat. Zamachnął się — i rzucił.

— Naprzód! Naprzód! — dał się, gdy wybuchy rzuciły ich do tyłu.

Przez zburzoną kuchnię wbiegli na korytarz. Znow torowali sobie drogę wybuchami granatów. Obsługa białego cekaemu próbowała odwrócić kierunek lufy. Pierwsze kopnięcie wybuchu rozgniotło dwu białych o ścianę.

— Jeszcze! Rzuć! — krzyczał Piotr nacierając z nasadzoną na karabin bagnietę.

Starł się z młodym oficerem. Naokoło kule, tłukły w mury, w posadzki gipsowe, których tu było pełno, strącały sztukaterię. Oficer odrzucił nagle szablę i nim Piotr zdążył go pchnąć bagnietą wyrwał zatknięty z pasem nóż. Kula szarpnęła ramię żołnierza, która natychmiast zwiła bezwładnie. Oficer skierował broń przeciwko nadbiegającym czerwono-gwardzistom, lecz jeden z nich plunął na niego z karabinu. Kula zwróciła porucznika białych na ziemię.

Słońce już zaszło i rzucało czerwony blask na brudne, niezmielone od trzech miesięcy firanki. Major wypadł w czasie opowiadania kilka papierosów, w czym mu sekundował, więc pokój pełen był dymu. Otworzyłem okno.

— Czy już wcielać nie spotkał się Cwiliński? — zapytał majora.

— Dość długo utrzymywałem z nim kontakt. Był w szpitalu ale szybko wrócił na front. Ostatni raz widziałem się z nim pod Caryncem. I wtedy zostawił swój adres w Białym stoku. To znaczy, może nie dość dokładnie powiedziałem: podał nazwę wioski, gdzie jego rodzice klepali błędy na małym gospodarstwie. Nigdy do niego nie pisałem, ale teraz, przed rokiem, gdy Białystok był wyzwolony, pojechałem do tej wsi. Cwiliński? — pytali mnie ludzie — „Jego dawno tu nie ma. Umarł”. Nie dałem za wygraną. „Ale Piotr Cwiliński, jego syn. Może wiecie, gdzie on przebywał?”

Większość wzruszyła ramionami, nie wiedzieli. Wreszcie ktoś powiedział: „Nie ma towarzysza Cwilińskiego. Był w partyzantce na Lubelszczyźnie i gdzieś pod Janowem osaczył ich. Zginął...”. Tyle się o nim dowiedziałem.

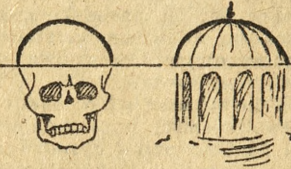
Major Andrej Szebanowicz Wołkow powiedział ostatnie słowa z żalem. Czulem, że wołały swoje burzliwe, rewolucyjne lata młodości, wspominać ze starym towarzyszem broni. Dlatego nie przerywałem jego milczenia.

JANUSZ LIKOWSKI

Trochę o dziwach ludzkiego ciała

Człowiek jako istota organiczna podlega wszystkim prawom przyrody, tak fizycznym, jak chemicznym i biologicznym; w budowie człowieka można zauważyć zastosowanie praw fizyki, zwłaszcza mechaniki, statyki i hydrodynamiki. Całe życie człowieka jest właściwie procesem biologicznym, którego poszczególne przejawy można bardzo łatwo wykazać w trawieniu, oddychaniu itp.

Szkielet jest jakby rusztowaniem, na którym opiera się



ciało ludzkie, przy czym można tu zauważyć formy uznane od wieków przez wszystkich architektów za najlepsze. Sklepienie czaszki można porównać do łuku z kopuły romańskiej, ustawienie belek kostnych w nasadzie kości udowej odpowiada zarysom gotyku, w stawach znajdziemy formy kuliste i zawiasowe bloki obrotowe; miednica i stopa ludzka przypominają łuki zbudowane z poszczególnych kamieni ściętych klinowo.

Tam gdzie zachodzi konieczność ruchu powstają umocnione więzadłami stawy, które odgrywają ważną rolę w organizmie i z tego względu są zabezpieczone przez naturę przez nadzwyczajną moc wiązadeł.

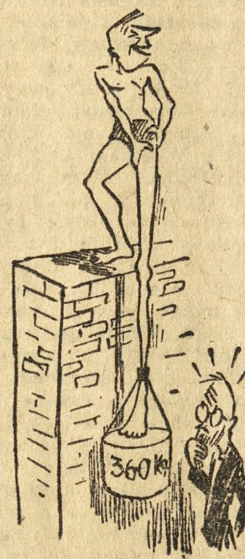
I tak w stawie biodrowym, dźwigającym cały ciężar tułowia, są one tak spójne, że wytrzymują wagę 360 kg, kilka wiązadeł razem wziętych potrafi oprzeć się naciskowi do 1000 kg.

Nie zawsze jednak kości czy więzadła mają jednakową moc przez całe życie człowieka. Pod wpływem chorób, silnego osłabienia czy starości zarówno kości jak i więzadła wiotczeją i to nawet do tego stopnia, że mogą spowodować osłabienie sklepień i łuków. W wyniku tego występują np.

takie zjawiska jak rozmiękanie kości, płaska stopa na skutek opuszczenia sklepienia, przekształcenie czaszki i klatki piersiowej, a przy gwałtowniejszych ruchach zerwanie więzadła.

Naczynia krwionośne podlegają stałemu parciu krwi i dzięki elastyczności tych ścianek u osób młodszych wytrzymują ciśnienie nawet do 20 atmosfer. Aby sobie uzmocnić tę wytrzymałość należy zaznaczyć, że ciśnienie kotła przeciętnej lokomotywy jest za słabe, aby spowodować pęknięcie tętnicy dogłowej człowieka o grubości nie większej niż ołówka. Oczywiście z upływem lat wytrzymałość ta znacznie maleje, a w późniejszym wieku ścianki naczyń krwionośnych tracą elastyczność i stają się tak kruche, że z łatwością pękają.

Zarówno fizyka jak i chemia ma szerokie zastosowanie na wszystkich odcinkach ciała ludzkiego, przenika do poszczególnych komórek organicz-



nym. Oddychanie na przykład polega na wytwarzaniu we krwi tzw. oksyhemoglobiny, roznoszonej przez czerwone ciała krwi, po całym ustroju. Proces ten rozpoczyna się w płucach, gdzie krwinki stykają się z tlenem powie-

trza, tutaj też następuje utlenianie drogą osmozy gazowej. Ale aby uchwycić wystarczającą dla organizmu ilość tlenu trzeba utleniać powierzchnię stosunkowo wielką a wynoszącą nawet do 3840 m². Odpowiednio wielką powierzchnię dają krwinki, które chociaż posiadają jedynie 0,007 mm w przekroju, to jednak rozmnażają się w ustroju człowieka do zawrotnej cyfry 25 bilionów.

Każda krwinka stanowi więc jakby oddzielne laboratorium, w którym zachodzą tak istotne dla życia ludzkiego procesy chemiczne; to samo można powiedzieć o procesach trawienia i innych przemianach w ciele ludzkim.

W sumie każdy organizm ludzki posiada około 55 miliardów komórek trawien-

nych, za pomocą których wchłania pokarmy rozpuszczone sokami trawiennymi. W jelitach bowiem o długości 9 metrów na każdym centymetrze śluzówki znajduje się około 3.000 kosmków, z których każdy posiada około 3.000 komórek trawiennych.

A pokarmów tych konsumujemy w ciągu życia nie mało. Według obliczeń w ciągu 70 lat życia człowiek konsumuje przeciętnie sto kilkadziesiąt ton żywności, a więc średnio 15 wagonów żywności, w tym około 30.000 kg jarzyn i owoców, 12.000 kg chleba, 6.000 kg mięsa i ryb 4.000 kg cukru, 2.000 kg tłuszczu, 5.000 kg jaj, 40.000 litrów



piłynów, a palacze nawet do 500.000 papierosów.

Olbrymią pracę spełniają również i nerki, które w ciągu 70 lat przefiltrują około 40 ton moczu.

Najwięcej zainteresowania budzi niewątpliwie mózg, który można porównać do centralnej stacji telefonicznej, gdzie każda komórka odpowiada jednemu abonentowi. Pomiedzy poszczególnymi abonentami biegną prądy skojarzeń, przerażające się w czynności psychiczne i ruchowe.

Ciekawe jest również to, że szereg cech, jak kształt czaszki, barwę oczu i włosów oraz wiele zniekształceń dziedzicznych człowieka z pokolenia na pokolenie. Wiedząc o tym można w pewnym stopniu wpływać na wygląd przyszłych jednostek, w coraz większym stopniu kierować dobrem jednostek i pokoleń.

(opr. Bro-Lis)

Nad czym pracują poznafscy poloniści

Z pracowni naukowych polonistów poznafskich wyszło w ostatnim czasie kilka prac, które wzbogaciły powojenny dorobek polskiego literaturoznawstwa o szereg cennych pozycji. Inne prace są w przygotowaniu. Wobec słabego na ogół udziału środowiska poznafskiego w ruchu wydawniczym, fakt ten tym bardziej zasługuje na podkreślenie.

Prof. R. Pollak przygotował dla Biblioteki Narodowej Zakładu Narodowego im. Ossolińskich „Goffreda albo Jeruzalem wyzwolony” Piotra Kochanowskiego, Stanisława Herakliusza Lubomirskiego „Wybór pism” oraz Samuela Twardowskiego „Satyra” i „Dafnis”. Ostatnio w Bibliotece Narodowej ukazał się J. Kitowicza (mieszczanina pochodzącego z Wielkopolski) „Opis obyczajów za panowania Augusta III”, gruby 600-stronicowy tom w nowym opracowaniu prof. R. Pollaka. Wydanie obejmuje po raz pierwszy cały tekst preparowany dotychczas tendencyjnie i stosownie do potrzeb nauki burżuazyjnej. O ile trzy pierwsze pozycje dotyczyły wieku XVII, ostatnia odnosi się już do wieku XVIII. Ukazał się również w druku referat prof. Pollaka ze zjazdu polonistów w Łodzi nt. „Periodyzacji literatury”.

Z okresem „Oświecenia” i z romantyzmem XIX wieku łączą się prace prof. W. Kubackiego. Czasów tych dotyczy aż 7 prac wydanych w tym roku, względnie przygotowanych do druku. Z nurtem postępowym wieku Oświecenia łączy się wydawnictwo „Monachomachii” i „Antymonachomachii” Ignacego Krasickiego z nowym wstępem krytycznym, podkreślającym i wyjaśniającym znaczenie tej pozycji w literaturze. W najbliższym czasie ukazuje się na półkach księgarskich nakładem „Książki i Wiedzy” studium pt. „Monachomachia przed sądem potomności”. Z kolei należy wymienić kilka prac związanych z twórczością A. Mickiewicza: w Wydawnictwie M. Kota ukazało się studium na temat III części Dziadów pt. „Arcydramat Mickiewicza”. Prof. Kubacki przygotował poza tym nowe wydanie „Księgi narodu i pielgrzymstwa”, „Żeglarza” i „Pielgrzyma” Mickiewicza. Ostatnio w Bibl. Nar. Zakł. Im. Ossolińskich wyszło studium pt. „Palмира i Babilon”, w którym autor skonfrontował artystyczną wizję Petersburga u Mickiewicza i Puszkina z rzeczywisto-

ścią. Ostatnia praca jest rezultatem naukowym wycieczki prof. W. Kubackiego w 1949 r. do ZSRR. W. Kubacki przygotował również nowe, krytyczne wydanie „Lili Wenedy” J. Słowackiego i „Marilyn” A. Malczewskiego. Z okresem pozytywizmu łączy się wydawnictwo „Pism wybranych” A. Świętochowskiego w 3 tomach. W. Kubacki, autor „Krzyku jarzębiny”, wystawionego przed dwoma laty w „Teatrze Polskim”, napisał ostatnio nową sztukę, osnutą na tle wypadków powstania kościuszkowskiego w Warszawie, pt. „Jakobińskie gniazdo”.

Z pierwszym wydaniem kompletnym pism Bolesława Prusa związana jest działalność naukowa - wydawnicza prof. Z. Szwejkowskiego. Pod jego redakcją ukazały się ostatnio „Studia literacko-artystyczne i poloniki” B. Prusa jako tom 29 wydania zbiorowego. Ostatnia pozycja zawiera materiał dotychczas w wydaniach książkowych nieznaną, wydobyty z czasopiśm. Na daleką metę zakrojony jest plan pierwszego pełnego wydania „Kroniki” B. Prusa. Niebawem ukaże się w druku pierwszy tom tego wydawnictwa z komentarzem prof. Z. Szwejkowskiego, nakładem „Książki i Wiedzy”. Całość ma objąć 20 tomów.

Poza pracami własnymi prof. Pollak i prof. Szwejkowski prowadzą na zlecenie Instytutu Badań Literackich prace kolektywne nad reedycją „Literatury Polskiej” G. Korbuta. Stosownie do swych specjalności, prof. Pollak kieruje pracownią literatury staropolskiej, natomiast pracownią prof. Szwejkowskiego gromadzi materiały z zakresu pozytywizmu i Młodej Polski. Ze względu na wagę reedycji G. Korbuta, Instytut Badań Literackich uruchomił podobne pracownie przy wszystkich uniwersytetach.

Szczególnie blisko z terenem poznafskim i dziejami romantyzmu w Wielkopolsce związana jest praca dr B. Zakrzewskiego nt. „Publicystyka Tygodnika Literackiego”. Książka ukazuje się nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. Dr Zakrzewski przygotowuje również wydanie antologii poezji proletariackiej z lat 1880-1890.

Cenne prace które wymieniliśmy, są sprawdzianem aktywnego udziału polonistów poznafskich w tworzeniu nowego, związanego z zadaniami Państwa Ludowego, postępowego kierunku badań literackich. (W)

OD CZAJKOWSKIEGO DO SZOSTAKOWICZA

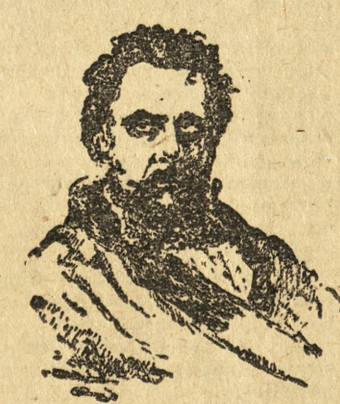
Współczesna twórczość muzyczna Związku Radzieckiego to dla nas jeszcze wartości kulturalne raczej mało znane. Wprowadzić na poznafskie afiszach koncertowych pojawiają się — od czasu do czasu — nazwiska Prokofiewa, Szostakowicza (symfonie), Czaczaturiana (sulta „Gajane” i Koncert na fortepian), ale całokształtu tego wspaniałego dorobku nie ogarniamy ani w jednej setnej! O osiągnięciach i doświadczeniach takich twórców jak Muradeli, Kabalewski, Miaskowski, Krein, Szebalin, Chrennikow, Dzierżyński, Szecherbaczew, Rewucki, Aszraf, Arutunian, Levina itd. — dowiadujemy się tylko z prasy — a czasem łapemy coś przez nieocenione radio.

Sztuka sowiecka to długie dziesiątki nieprzeciętnych talentów i tysiące utworów. Wszystkie one stanowią nie jako nawiązanie do słów Lenina: „Nie ma decydującego znaczenia w narodzie to co przedstawia sztuka dla grupy kilkuset speców. Sztuka jest własnością ludu, jej korzenie powinny wrosnąć do głębi masy ludowej. Sztuka musi być zrozumiała dla tych mas, kochać ją przez nie. Powinna jednożyć wzruszenie, myśl i wolę tych mas i podnosić je na coraz wyższe poziomy”.

We współczesnej muzyce radzieckiej toczyła się walka pomiędzy dwoma artystycznymi koncepcjami: formalizmem a realizmem. Według formalistów muzyka to tylko sztuka dla sztuki, forma abstrakcyjna. „Naród w odniesieniu do meji muzyki jest terminem ilościowym, którego nigdy nie błorę w rachubę” — oświadczył wręcz szef światowego modernizmu Igor Strawiński. Teorie realistów mówią inaczej: muzyka może korzystać z zdobyczy eksperymentatorów, ale musi i powinna wyrażać ludzkie uczucia i służyć masom ludowym. Nie jest do pomysłu-

nia brak kontaktu sztuki z odbiorcą — przez czas dłuższy.

Pięknie na ten temat pisze znakomity Dymitr Szostakowicz (1949): Wydaje mi się, że jeżeli w przeszłości osiągnęliśmy sukces, dzięki niektórym z moich dzieł, stało się to na skutek ich głębokiej łączności z życiem mojego ludu. W każdym wypadku starałem się uścisnąć o wcielenie w nich wielkich idei ludzkich, idei postę-



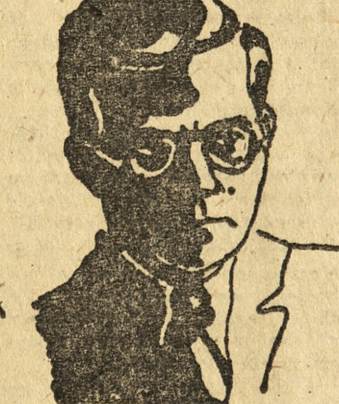
M. Musorgski

pu, oplanających się na pozytywnym podejściu do życia. A przeciwnie: kiedy traciłem łączność z ludem — doznawałem niepowodzeń. Utwory moje znajdowały oddźwięk tylko w ciastym kole rafinowanych muzyków, lecz nie wywoływały echa w szerokich masach społeczeństwa.

Realistyczna estetyka muzyczna ZSRR kładzie mocny akcent na pierwiastki emocjonalne. Chce przemówić do słuchacza monumentalnością formy i rozmachem treści. Pragnie dawać głębokie przeżycia estetyczne ludziom pracy w halach fabrycznych i świetlicach. W ZSRR ożywa forma operowa. Rodzi się nowa pieśń masowa. Społeczeństwo radzieckie szczególnie miłośnią otacza swych genialnych mistrzów przeszłości, kompozyto-

rów narodowych XIX wieku. I tak za sztandarowego muzyka uważa się tam Piotra Czajkowskiego, autora znanych dobrze i u nas symfonii oraz oper.

W ogóle wypada stwierdzić, że w repertuarze starszej, historycznej muzyki rosyjskiej orientujemy się dużo lepiej, niż w tej porównawczej (od roku 1917). Np. „Eugeniusza Oniegin” Czajkowskiego od kilku już lat podziwiamy w O-



Szostakowicz

perze poznafskiej, która ponadto każdego sezonu zaznająm mieszkańców Poznania i Wielkopolski z jakimś arcydziełem klasycznej muzyki rosyjskiej. I tak premiera „Borysa Godunowa”, ludowego dramatu muzycznego, napisanego przez Modesta Musorgskiego (podług tekstu Puszkina) stała się wydarzeniem kulturalnym w skali ogólnopolskiej. Również ewenementem okazała się realizacja sceniczna „Śnieżynki” Mikołaja Rmski-Korsakowa, którego subtelny, baśniarski styl operowy był do niedawna dla kultury polskiej całkiem nieznaną.

Zespół baletowy naszego Teatru Wielkiego kilkakrotnie słał już do klasycznego repertuaru rosyjskiego, wystawiając z powodzeniem: „Tańce połowieckie” Borodina, „Porę-

Kazimierz Nowowiejski

Na uroczych wyspach Indonezji

Wśród wielu krajów kolonialnych, w których toczy się dziś walka o wolność Indonezja stanowi przykład najciekawszy i najdobitniejszy. W wolnościowej walce Indonezji o całkowite zrzućenie obcej „opieki” odzwierciedla się dziś cała skomplikowana problematyka i wszystkie powikłania taktyczne kampanii, jaką prowadzi światowy imperializm przeciwko jednej trzeciej globu ziemskiego, przeciw narodom kolonialnym.

Indonezja jest wielkim krajem — 1 900 000 km² — złożonym z kilku wielkich i paru dziesiątek pomniejszych wysp. Są to wyspy bardzo urodzajne, wśród których Jawa zajmuje pierwsze miejsce. Jest też najbardziej zaludniona. Gleba jest tam tak wspaniała, że cała rodzina może wyżyć dość zamożnie na półhektarowym gospodarstwie, uprawiając ryż. Jawę przecina z zachodu na wschód 121 wulkanów, z których największy Semoru ma wysokość 3676 metrów. Wybuchy wulkaniczne sprawiły, że ziemia podniosła się na wysokość 2000 do 3000 metrów i wzbogaciła ją sole mineralne, które wraz z lawą wypłynęły z wnętrza ziemi.

Wielkie przestrzenie wyspy zajmują pola ryżowe. Ryż służy

się w wodzie i w wodzie on dojrzewa. Na stokach wzgórz pola ryżowe są czasem tak małe, jak wielki stół kuchenny. Podróżnik francuski Roge Wayan odwiedził niedawno Jawę i wrażenia jego z podróży ogłasza czasopiśmno wielojęzyczne „W obronie pokoju”.



Pierwsze na co zwrócił uwagę Roge Wayan było stwierdzenie faktu, że Indonezyjska Republika w rzeczywistości opanowana jest siecią pajęczą kapitalizmu europejskiego i amerykańskiego. „Życiem tamtejszym rządzi, pisze Wayan, trzy tajemnicze litery K. P. M. Jest to skrót nazwy towarzystwa żegluga holenderskiej, którego pełnego brzmienia podróżnik nie dowiedział się. Towarzystwo to posiada 300 statków. Zmonopolizowało ono cały transport morski archipelagu Indonezji, a więc Jawy, Sumatry, Borneo i kilkudziesięciu małych wysp. Tylko jedno państwo burżuazyjne posiada taką flotę handlową, która mogłaby wyprzeć K. P. M. Są to Stany Zjednoczone. I tę przewagę swą Waszyngton wykorzystuje dla utrzymania w zależności od siebie zarówno Holandii jak i młodej Republiki Indonezyjskiej.

W tym tkwi również przyczyna, dlaczego Holandia zmuszona była przyjąć narzucone jej przez amerykańców naczelnika sztabu generalnego i dlaczego prezydent Republiki Indonezyjskiej Sukarno wbrew opozycji parlamentu jeździł na początku 1951 roku na Filipiny w związku z amerykańskimi planami reorganizacji południowo-wschodniej Azji.

A oto przykład niepodzielnego władztwa K. P. M. Gdy podróżnik francuski próbował jeździć własnym autem, zagrożono mu wysiedleniem z wyspy. Auto musiał sprzedać K. P. M.

W Indonezji większość robotników rolnych zatrudniona jest na plantacjach ryżu. Tworzą oni zorganizowane grupy na wzór robotników fabrycznych. Podział pracy wzorowany jest różnie na zakładach przemysłowych.

Na Jawie i na Sumatrze główna masa robotników re-

krutuje się z chłopów. Przewozi się ich razem z rodzinami na teren plantacji, gdzie mieszkają w bardzo prymitywnych warunkach. Nawet w środkowej części Jawy w rejonach małoprolnych, chłopci hodujący ryż od dawna związani są z przemysłem i to w je-

pracujących. Uświadomienie polityczne mas chłopskich i robotniczych spowodowało, że ludność malajska zaczęła wrogo odnosić się do białych ciemniejących, którzy niszczą chleb, gdy głodują miliony ludzi.

„Biał — idźcie do domu”, brzmiało w całym Archipelagu Malajskim. W hotelu Dżokjakardzie, gdzie zatrzymał się podróżnik francuski panuje od pewnego czasu niezwykły ruch. Hotel jest przepelniony odjeżdżającymi Amerykanami, Holendrami, Anglikami. Wszyscy likwidują tu swoje interesy i wyjeżdżają.

W czasie pobytu podróżnika francuskiego w stolicy Jawy wybuchł strajk służby hotelowej. Życie hotelu zamarło. Krzesła restauracji ustawiono w piramidy, ogień zagasł w kuchni. Zgasła elektryczność. Zabrakło wody. Żony dygnitarzy holenderskich i amerykańskich po raz pierwszy poszły do miasta po żywność i musiały gotować pożywienie na maszynce spirytusowej, prać bieliznę i rozwieszać na drzewach w parku hotelowym. Hotel przybrał wygląd obozu dla uchodźców.

„Tak, pisze podróżnik francuski, przedziwnie lub później skończył swój żywot obumarły świat”.

(F. H.)

Miniatury arcydzieła

Kiedy sto lat temu pojawił się pierwszy na świecie znaczek pocztowy — nikt nie przypuszczał, że ten barwny skrawek papieru w przyszłości przekroczy ramy swego zasadniczego przeznaczenia. Czym jest w dzisiejszych czasach pospolita marka pocztowa, będąca pokwitowaniem pobranej opłaty za czynności pocztowe?

Zachwycę nas ona nie tylko pięknem wykonawstwa i tematem, harmonią barwną, precyzją — lecz stanowi zarazem niezwykle ważny i efektywny czynnik dydaktyczny propagandowy kraju, w którym ją wydano.

Czym powinien być znaczek pocztowy, jako „bilet wycieczkowy” — jakiego państwa — pouczają nas niezwykle ciekawym „Wystawą Radzieckich Znaczków Pocztowych”, zorganizowaną w gmachu Miejskiej Biblioteki Publicznej w Poznaniu przy ul. Armii Czerwonej 65. Dość jasna jest ona świadcząca o roli pocztowej w budowie, upiększaniu i rozwoju

znaczków pocztowych oraz filatelistyki w ogóle — Związek Radziecki osiągnął wspaniałe rezultaty. Imponująca jest liczba wydanych różnorodnych marek pocztowych w trzech ostatnich dziesięcioleciach. Wiele z wystawionych znaczków to dosłownie arcydzieła swego rodzaju. Do tematycznych należą serie: „Muzea Stoliczne” i „Galeria Tretiakowska”. Filatelista zachwycę w nich plastycznością obrazu, harmonią barw, techniką graficzną i nadzwyczaj staranne wykonanie. Nie brak na wystawie wielu innych kompletów o imponującym poziomie artystycznym i technicznym.

Uwidoczniła na znaczkach radzieckich tematyka sięgająca wszystkich dziedzin życia społecznego. Odnajdujemy na nich symbole problemów społecznych o skali krajowej i międzynarodowej — za pośrednictwem znaczka popularizuje się hasła umasowienia kultury, sportu, walki o pokój, ukazuje się osiągnięcia w dziedzinie odbudowy, przemysłu, wiat, komunikacji.

podnoszenia techniki itd. Już w Rosji carskiej istniały znane szeroko w świecie zbiory filatelistyczne, lecz dopiero po Wielkiej Rewolucji filatelistyka zaczęła rozwijać się u naszego wielkiego sąsiada w niespotykanym nigdzie tempie. Po ciężkim okresie początkowym w Związku Radzieckim powołano do życia specjalną organizację, której celem było wytyczenie filatelistyce nowych dróg rozwoju. Na jej czele stanął „Pełnomocnik dla spraw filatelistycznych”. I oto dzisiaj liczna rzesza filatelistów radzieckich zrzeszona jest w stowarzyszeniach, klubach, a nawet szkolnych kółkach filatelistycznych, wykazujących dużą żywotność. Często organizowane wystawy znaczków pocztowych oraz innego rodzaju imprezy dodają podniety manii kolekcjonowania. Zorganizowana w Poznaniu wystawa zainteresowała nie tylko kolekcjonerów i fachowców, lecz również szeroki krąg mieszkańców — a zwłaszcza młodzież. (Kłys)

Od „camera obscura” do filmu trójwymiarowego

Patrząc dzisiaj na bajeczne filmy kolorowe ani przypuszczamy, że doskonała technika dzisiejsza, utrwalająca na filmie ruch, trwającą ułamki sekund, początkami sięga roku 1500, w którym genialny Leonardo da Vinci skonstruował swoją słynną „camera obscura”, skrzynkę, w której na matowej szybce padały promienie, wpadające przez maleńki otwór, wywiercony w przeciwległej ścianie. Odwrócony obraz, jaki powstał na matówce, stał się zarzewiem niepokoju w umysłach twórczych fizyków i chemików, którzy próbowali obraz ten „postawić na głowie” i utrwalić.

Minęły jednak trzy wieki, zanim po raz pierwszy udało się na miedzianych płytach, pokrytych srebrem, utrwalic obrazy. Między tymi niedoskonałymi „dagerotypami” (nazwanymi od wy-



nalazcy Daguerre), a dzisiejszą fotografią drogą prowadził przez fotografię sylwetkową (1839 rok), fotokopie na pienieżnych papierach fotograficznych (1841 rok), fotografowanie na szklanej kieszce (od r. 1846), nieustannie udoskonalane, aż do płyt, czułych na wszystkie barwy. W przyszłym roku bion filmowa, zastępowana zamiast szklanych płyt, będzie obchodziła swoje 65-lecie.

Technika fotografowania przeszła w ostatnim ćwierćwieczu tak wielką przemianę, że trudno oprzeć się przekonaniu, że próby przeobrażenia filmu płaskiego, dającego na ekranie obrazy ruchome, ale dwuwymiarowe, wkrótce dadzą obrazy trójwymiarowe, o naturalnych barwach. Zostały bowiem już pokonane wszelkie przeszkody, które utrudniały, czy nawet uniemożliwiały fotografowanie w wielu okolicznościach. Materiał i sprzęt fotograficzny sięga po obrazy, zakryte przed okiem ludzkim ciemnością. Nie ma ruchu, nie ma barwy, której by nie można sfotografować. Ostatni etap, pokonanie trójwymiaru, jest na warsztatach fizyków, chemików i techników całego świata. (x)

Roślina tysiąckrotnych plonów

Nie przypuszczaliśmy, że kukurydza, roślina, która w naszym kraju jest już tak powszechna, może być tak ciekawa. Kukurydza, roślina, która w naszym kraju jest już tak powszechna, może być tak ciekawa. Kukurydza, roślina, która w naszym kraju jest już tak powszechna, może być tak ciekawa.

Tak się jednak złożyło, że kukurydza prawie się nie zainteresowano. O jej uprawie przypomnieli sobie biali uzurpatorzy Ameryki dopiero w r. 1845, gdy groźny chrząszcz „Colorado” zwany u nas pospolicie stonką — zaczął niszczyć w straszliwy sposób amerykańskie pola ziemniaczane. Stonka pokazała wtedy po raz pierwszy swą niszczycielską siłę. I wówczas to ziemniak ustąpił miejsca kukurydzy pastewnej, zwanej również od kształtu budowy ziarna — „zębem koniskim”.

Uparty chrząszcz Colorado wędrował jednak dalej przez świat i przywleczony został do Europy, w której od Francji poprzez Niemcy dotarł na pobliskie pola ziemniaczane.

Walka o aklimatyzację

Walka ze stonką, jest niezwykle trudna, gdyż jak pisze w swym dziele słynny uczyony radziecki — prof. M. Bogdanow — Karkow — temperatura optymalna dla stonki zbiega się z optymalną temperaturą konieczną dla rozwoju ziemniaka. Wobec plagi stonki i chorób wirusowych, którym od czasu wojny podlega ziemniak, palącą wprost sprawą stało się znalezienie rośliny zastępczej jeśli chodzi o paśkę zwierzęcą. Polska ma wszelkie warunki by stać się krajem rozwijającym hodowlę bydła na szeroką skalę, ale na przeszkodzie realizacji wielkich planów stawała zawsze zbyt mała ilość paszy. Znalazienie rośliny, zastępującej ziemniaki w pokarmie dla zwierząt włączonych zostało dlatego jako jedno z głównych zadań do planu 6-letniego.

Zagadnieniem tym, tak ważnym dla rozwoju gospodarczego naszego kraju zajęli się dwaj naukowcy z Wrocławia — prof. dr Tadeusz Olbrycht i dr Władysław Nadwysz-

wski. Już przed wybuchem drugiej wojny światowej prof. Olbrycht i jego asystent pracowali nad aklimatyzacją kukurydzy pastewnej, ale w Polsce sanacyjnej prac ich nie doceniono. Utało się bowiem przekonanie, iż kukurydza jest typową rośliną kra-



Nowo wyhodowane odmiany kukurydzy: 1 ostroziarnista, 2 szklista, 3 „hybrid wielobarwny”, 4 „Czerwony koral”, 5 „Złota perla”, 6 „Wigor”, 7 „Złoty żar” i 8 Wrocławska silosowa. Odmiany 4—8 wyhodowane zostały przez prof. dr. T. Olbrychta.

jów ciepłych i wymaga klimatu, w którym dojrzewa winna latorośl. Dopiero państwo ludowe stworzyło uczonym odpowiednie warunki do kontynuowania badań i doświadczeń nad „końskim zębem”. Obaj naukowcy postanowili więc dowiedzieć, że kukurydza pastewna dojrzewa i rodzi w klimacie polskim. Po dwu latach dociekań cel osiągnięto. Dzisiaj na Dolnym Śląsku kukurydziane pola doświadczone wydają wspaniałe plony — równające się trzykrotnym plonom zbóż małych — owsa i jęczmienia.

Fantastyczny las

Uczni wrocławscy dowiedli, że dla uprawy kukurydzy nie jest rozstrzygający klimat, ale ilość dni nasłonecznienia słonecznego. Zasadniczą pomyłką polskich rolników było to, że brano do hodowli ziarna, które przywędrowały do Europy z wysp podzwrotnikowych. Ta odmiana kukurydzy, przyzwyczajona do krótkich dni nasłonecznienia słonecznego, czekała z kwitnieniem tak jak kwiat południowych Chin — chryzantema — na krótkie dni jesienne. Dlatego pierwsze jesienne przymrozki zastawały ją na polach z kaczanami jeszcze w młeczej dojrzałości ziarna. Prof. Olbrycht i dr Nadwyszewski, dla uprawy kukurydzy w Polsce, sięgnęli po materiał wyjściowy do krajów o klimacie ostrzejszym i bardziej zbliżonym do maszy z hektara. Według in-

formacji dr Nadwyszewskiego w jednym z PGR-ów zebrano z 3-hektarowej plantacji kukurydzy pastewnej odmiany polskiej — 296 q nasion o 97 procentach siły kiełkowania.

Poza tym kukurydza pastewna odznacza się zdolnością kiełkowania w niższych temperaturach gleby. Ziarno jej oraz masa zielona są znakomitym koncentratem składników odżywczych. Zarówno w lata gorące jak i suche a nawet w wilgotne i chłodne — kukurydza nie zawodzi rolnika.

Z 700 pozycji, wyrabianych poczynnie z odpadków kukurydzy, ograniczymy się tylko do wymienienia kilku zasadniczych. A więc: słoma kukurydzy stać się może podstawą w produkowaniu papieru; rdzeń kolby zębu koniskiego służy do wyrobu furfuralu, z którego wyrabia się oprawki do okularów, podstawki, ozdoby, koraliki i wiele innych sprzętów i przyborów; z odpadków kukurydzy wyrabia również można ramy okienne, posadzki, poręcze schodów itp.; kukurydza pastewna daje podstawowy materiał potrzebny do produkcji gliceryny, sztucznej gumy, alkoholu...

Oto nikła tylko liczba przykładów, świadczących o niezwykłej użyteczności kukurydzy pastewnej — rośliny, której trzeba rokować wspaniałą przyszłość.

„rekord południa” — wyrostają wysoko, tworząc fantastyczny las o przeszło 5 m wysokości. Niezapomniane wrażenie sprawia zwiędnięte plantacji w Państwowym Gospodarstwach Rolnych w Suszyczach, Wierzbicach i na stacji selekcji. Pustkow w powiecie wrocławskim.

Tysiąc zalet i jedna wada

Kukurydza pastewna ma tysiąc zalet i tylko jedną wadę. Wadą tą jest choroba zwana „głównią” atakująca roślinę w sposób zresztą niegroźny. A oto kilka zasadniczych zalet: jako trawa roczna sięga kukurydza pastewna w ciągu 3—5 miesięcy od 2—5 metrów wysokości, odukuwając w sprzyjających warunkach od 800 — 1600 q zielonej



Czy to podzwrotnikowy gaj? — Nie — to tylko plantacja kukurydzy pastewnej na polu doświadczeniowym Zakładu prof. dr. T. Olbrychta

Hanna Muszyńska-Hoffmanowa

CYTRYNNIK — lek dla ludzi zmęczonych

W iglastych jak i liściastych lasach Dalekiego Wschodu spotyka się często pnącą roślinę — lianę z rodziny magnoliowych — szizandrze chińska. Roztarta w dłoni kora lub łodyga tej rośliny wydaje silny zapach cytryny i dlatego ludność określa ją mianem — cytrynnika.

Cytrynnik rośnie na słonecznych polanach, bądź na skłonach pagórków leśnych. Łatwo go można rozpoznać wśród innych roślin po brązowo-czerwonej korze i długich różowych wstęgach. Cienkie i giętkie łodygi cytrynnika, dosięgają niejednokrotnie 15 metrów długości, którymi oplatają sąsiednie krzewy i drzewa, bądź czepiają się skał, stale dając ku gorze. Kwiaty cytrynnika białe, bądź różowe o miłej cytrynowej woni, umieszczone na długiej szypułce, tworzą drobne kiście, owoce zaś w postaci purpurowych jagód o smaku cytrynowym, tworzą na szypułce gęste, niczym porzeczkowe gronka do 5 cm długości. Cienkie i giętkie łodygi cytrynnika, dosięgają niejednokrotnie 15 metrów długości, którymi oplatają sąsiednie krzewy i drzewa, bądź czepiają się skał, stale dając ku gorze.

mno — żółta pestka owocu ma aromatyczny — gorzki smak.

Jagody cytrynnika już od dawna stosowane są w chińskiej medycynie przy licznych chorobach lub do wyrobu napoju bezalkoholowego. Ludność miejscowa stosuje go jako środek przywracający siły fizyczne. Przybywający tu myśliwi, bądź członkowie różnych ekspedycji wkrótce przekonali się na sobie o zbawiających właściwościach owocu tej cennej rośliny.

Opisy cytrynnika spotyka się już w starych chińskich i koreańskich książkach lekarskich, ale nie podano w nich jego substancji, zawartej w jagodach, nadaje mu własności lecznicze i w jaki sposób należy jagody stosować w lecznictwie. Uczonym radzieckim udało się, po przeprowadzeniu dokładnej analizy chemicznej jagód, wydzielić właściwą substancję krystaliczną, której cytrynnik zawdzięcza swoje cenne właściwości.

Drzewo — parasol

Niektóre rośliny tropikalne jak np. filodendrony i figowce obok korzeni w ziemi wytwarzają jeszcze korzenie powietrzne, które niejednokrotnie sięgają nawet do kilkudziesięciu metrów. W odróżnieniu od korzeni rosnących w

Charakterystycznym jest, że przeprowadzają one nie tylko wodę z ciłkami mineralnymi, ale równocześnie podpierają gałąz, z której wyrosły. Tak podparta gałąz rośnie w dalszym ciągu, wypuszcza korze-



niem od korzeni rosnących w ziemi, siera wzrostu korzeni powietrznych jest dość duża.

I tak rosnący na wyspie Jawa figowiec z gatunku Ficus beniamina wyrasta początkowo jako drzewo o pniu smukłym, silnie rozrastającym się na grubość, ale równocześnie w miarę wzrostu boczne jego gałęzie wytwarzają liczne przybyszowe korzenie powietrzne, które intensywnie rosną ku ziemi, chwytają się mocno gleby, wrastają w nią, szybko grubieją i stają się podobne do pnia.

nie powietrzne i w ten sposób figowiec rozrasta się do tego stopnia, że gałęzie jego dochodzą nawet do 50 i więcej metrów długości. Zdarzyć się nawet może, że pień właściwy figowca rozpadnie się, a korona drzewa w dalszym ciągu rośnie, utrzymywana na bocznych podporach z korzeni przybyszowych.

Rosnąć w podobny sposób figowiec zajmuje znaczne przestrzenie. Często zdarza się, że pod wyrosłym w ten sposób osobnikiem może się schronić 20 tys. ludzi. (Bro-lls)

Książki, które warto poznać

Rodzina Thibault

Ulubioną lekturą wielu czytelników są wielotomowe powieści, których fabuła są dzieje, rodu lub rodziny. Książek tego rodzaju znajdujemy sporo w światowej literaturze pięknej, a wśród nich niepoślednie miejsce zajmuje czterotomowa powieść wybitnego pisarza francuskiego Rogera Martina du Gard — „Rodzina Thibault”.

Du Gard należy do najbardziej postępowych literatów francuskich ostatniej doby a jego dzieło, doskonale przetłumaczone na język polski przez Halinę Gadkównę i Pawła Hulę-Laskowskiego zdobyło u nas z miejsca licznych entuzjastów. Trudno się temu dziwić, gdy na całość trapiącej powieści du Garda składają się: niezwykle ciekawa treść, żywa i trzymająca czytelników w bezustannym napięciu akcja oraz prześliczny styl.

Akcja powieści toczy się w czasach poprzedzających I wojnę światową oraz w pierwszych latach krwawych zmagani. Autor ukazał swych bohaterów na tle typowego środowiska francuskiego drobniomieszczanstwa, obnażając bezkompromisowo z całej fałszywej pozłoty, z blasku obłudnej moralności i filantropii obliczonej na efekt. Pisarz uja-

wnął w swej pracy i ukazał wszystkie smaczności, kryjące się na dnie drobniomieszczanckiego stylu życia oraz jego zupełną bezideowość. Pokazał ponadto klasowy charakter drobnej burżuazji francuskiej, oddanej sercem i duszą klasie wielkich kapitalistów, powiązanej z nią węzłami ścisłymi, współpracy i wspólną nienawiścią do proletariatu.

Bohaterami powieści są w zasadzie dwaj bracia — Antoni i Jakob Thibaultowie, synowie bogatego adwokata paryskiego, z których pierwszy idzie przez życie śladem ojca i traci wszystko co owiane jest ciłością życia. Drugi — wyrzeka się bogactw i wszystkich przywilejów klasy, z której pochodzi — wybiera drogę rewolucyjnej walki o zwycięstwo idei postępowych i o pokój między narodami i w tej walce ofiaruje ludzkości własne życie.

Powieść „Rodzina Thibault” to żywy i barwny obraz Francji z okresu pierwszych dzieł lat bieżącego stulecia obraz narastających w niej sprzeczności oraz obraz dążeń i bojów postępowych sił francuskich, wśród których postacią Jauresa promieniuje szczególna szlachetność.

HUMOR • HUMOR • HUMOR • HUMOR

W KOREI

wojna

pokój



Witold Degler

Oszczędności na czasie

Oszczędzamy dzisiaj wszyscy kosztu własne, prąd i gaz — słusznie, pięknie — ale czemu mało kto oszczędza czas?

Bo slyszalem prelegenta, co udzielił pogadankę miał: dwie godziny stękał, kwękał, by, rzecz nie to, co sam chciał!

Interesant w biurze nudzi, złościć ludzi innych trzech. Głaz-referent to nieszczęście, gość-gadula to też grzech!

Raz znajomy do mnie wstąpił, wskoczył, „wdepnął” — bo miał chęć — na minutkę, na sekundkę! No i gładzi godzin pięć!

Pędzisz w mieście, spieszysz ci się, wtem na ciebie Lolek wpadł! — Co drugi się dzień widzicie, a on woła: „Kopę lat!”...

Częsty też typ, który zwierzyc i wynężyć musi się, by cię wzruszyć „głęboko” — a tobie się ziewać chce!

Jest satyrk, co tak lubi w długich wierszach nudzić was!

Och! i przecież nie o sobie... Lecz zakończ — bo już czas!

STASZ

SPOSÓB

Zadzwoń do Urzędu Załatwiania Spraw Bieżących. Prosiłem o połączenie z kierownikiem Konewką. Nie było. Z kierownikiem Mikshtackim. Nie było. Z naczelnikiem Farfurką. Nie było. Z referentem Ostroją. Na konferencji. Z kierownikiem Sowikiem. Na odprawie. Zadzwoń w dwa dni później. To samo. W trzy. To samo. Po dwóch tygodniach. Ta sama sytuacja.

Wybawili mnie dopiero Ciechowicz.

— Chcesz to ci to od ręki załatwić. Zdobędę wszystkie podpisy, o które ci chodzi. W pół godziny. Konewka, Mikshtacki, Farfurka, Ostroja i Sowik? Dobrze. No, chcesz?

Chciałem. Podanie wraz z załącznikami mu dałem. Ciechowicz wrócił po 40 minutach.

— Masz tu swoje papiery. Należy mi się 32 złote i 70 gr.

— Co, łapówkę bierzesz. Myślałem, że ty tak dla kolegi.

— Nie żadną łapówkę. Farfurka, Konewka i Sowik siedzieli w „Ludowej”. Musiałem wypić z nimi kawę i zjeść ciastka. Mikshtacki i Ostroja byli w „Asie” — też musiałem coś wypić.

Zapłaciłem. Pomyślałem sobie, że świetny jest ten sposób Ciechowicza. Tylko że podobno (mówią na mieście) urzędowanie — Sowików, Konewek, Farfurków etc. w kawiarniach ma się już niedługo skończyć i nie będzie można tam nic załatwić. Przykre.

Ale może wtenczas staną się oni osiągalni w swym biurze. I też można będzie załatwić. Bez specjalnych wydatków. Tylko za opłatą stemplową. A to już o wiele mniej.

HUMOR

Inżynier W. ma głos niezwykle donośny. Właśnie rozmawia przez telefon z Warszawą, gdy do biura przychodzi dyrektor Z. i słysząc krzyki pyta sekretarki:

— Co tu się dzieje? — dlaczego inżynier tak krzyczy?

— Inżynier W. rozmawia z Warszawą — wyjaśnia sekretarka.

— Ale dlaczego nie posługuje się telefonem? — pyta dyrektor.

— Wszystko przepadło! Oświadczyłem twojemu ojcu, że bez ciebie żyć nie mogę.

— No, i co? ojciec powiedział?

— Powiedział, że weźmie na siebie koszt mego pogrzebu.

— Ciociu, dlaczego ciocia się pudruje?

— Ażeby ładnie wyglądać.

— A dlaczego to nie nie pomaga?

MIK

Rozmowa z kierownikiem

O kierowniku. Jak się przedstawia u was zadanie oszczędności?

— Uważam, że bardzo dobrze. Celem zaoszczędzenia materiałów biurowych, wydałem polecenie, by urzędnicy moi składali cotygodniowe pisemne raporty o zużyciu papieru kancelaryjnego ołówków, gum do wycierania, spinaczy itp. Raporty te wykonnane w trzech odbitkach, opatrzone mają być podpisem referenta danego działu, dyrektora naczelnej oraz rady zakładowej. Celem usprawnienia tej akcji chciałbym zamonitować naszą centralę o etaty dla dwóch sekretarek ze znajomością języków obcych.

— A co robi się u was z makulaturą, ob. kierowniku?

— Otóż stwierdziłem wielkie ilości makulatury w naszym archiwum i w registraturze. Ażeby nareszcie pozbyć się tego balastu, zawałającego szafy, regały i szuflady, wydałem polecenie, ażeby wszystko to zebrać na jeden stos i...

— ...odstawić do najbliższego punktu skupu makulatury?

— E po co? I tak byśmy tylko grosze za to dostali.

A jeszcze wóz najać. Ludzi oplać... Uważałem, że o wiele prościej i ekonomiczniej będzie cały ten balast wynieść na podwórze i spalić.

— Acha. Ale przecież wśród tych szpargałów mogły być jakieś ważne dokumenty.

— I o tym się pomyślało, drogi panie. Dlatego też przed spaleniem poleciłem moim ludziom z każdego pisma sporządzić po dwie odbitki.

— Czy wykonujecie jakieś roboty systemem gospodarczym?

— Tak. Nasz dotychczasowy garaż jest już trochę przestarzały i ciasny, dlatego też pragniemy wybudować nowy. Materiał do budowy nowego garażu weźmiemy z rozbiórki starego. Żeby jednak nie ucierpieć na tym tok pracy, wydałem zarządzenie, by do czasu uruchomienia nowego garażu nie rozbierać starego.

— Słyszałem, że w ramach oszczędności zrezygnowaliście dobrowolnie, ob. kierowniku, z używania samochodu służbowego na przeciąg dwóch miesięcy...

— Owszem. Tak długo właśnie potrwa remont naszego auta.

— Czy ob. kierownik słyszał coś o zakazie urządzania bankietów i przyjęć?

— Oczywiście. Postanawiamy nie urządzać żadnych bankietów z wyjątkiem rzeczywistych ważnych okazji, jak, powiedzmy, moje imieniny, czy coś w tym rodzaju. Co się natomiast tyczy przyjęć, to muszę z dumą powiedzieć, że o sobiście już dawno je ograniczyłem. Obecnie przyjmuję interesantów tylko w poniedziałki i w piątki od godz. 12.45 do 13.15. Jak więc widać z tego...

Dalszych wywodów ob. kierownika na temat oszczędności — nie slyszalem. Ale nie szkodzi, gdyż kilka dni później dowiedziałem się od pracowników zakładu, że instytucja poczyniła jeszcze jedną drobna, ale zdaje się istotną, oszczędność. Mianowicie podziękowała za pracę ob. kierownikowi. Przypuszczalnie wychodząc z założenia, że takich „oszczędnych” kierowników oszczędzać nie można.

Kułacki zysk

Narzekali kułaki, że ciężkie czasy, że mało zarabia, że tylko strata. Przechował zboże na spekulację, No i zarobił... w sądzie trzy lata. Ed. R.

Filip, król Macedonii, przyjął kilkakrotnie prośbę pewnej staruszki i za każdym razem, kiedy powracała, aby dowiedzieć się o wyniku załatwienia, wymawiał się, że nie miał czasu przejrzeć sprawy. Pewnego dnia stara straciła cierpliwość i zawołała: — Jeżeli nie masz czasu, to dlaczego nie pozwolisz rządzić komu innemu? (ja)

— (Neue Berliner Illustrierte) — Panie doktorze, prosimy o pomoc. Właśnie ćwiczyliśmy nowy taniec amerykański...

W amerykańskim studio



— (Neue Berliner Illustrierte) — Ladys and gentlemen! W dalszym ciągu audycji beethovenowskiej usłuszmy obecnie „Symfonię nr 1” w rytmie boogi-woogi...

WŁODZIMIERZ ŚCISŁOWSKI

LIST

Z prasy: W okręgu poznańskim — biurokraci hamują rozwój ruchu racjonalistycznego w budownictwie, przetrzymując poszczególne wnioski.

Szanowny panie referencie — Izami bym pisał list do pana, lecz leż mi brakło w tym momencie szanowny panie referencie!

Pół roku leży me podanie — i wniosek — prośby — o przyjęcie — a pan trwa nadal w biogostanie szanowny panie referencie!

Nad papierami kir pajęczyn — a ja tak czekam wciąż zawzięcie — i myślę — jakież sens ma ten czyn szanowny panie referencie?

Czyn — co pod nogi kłody ciska czyn — co hamuje nurt usprawnień, czyn sennej mumii co ludziska w resortach gnębi tak jak dawniej...

Moiu biurowy, zasuszony — leż nie wyleję już nad listem — nie będę błagał cię zmarliwny — mam usprawnienia lepszy system.

Tak radykalny niezawodnie, że — wierzę w jego skutek świecie — wylecisz cicho, bezpowrotnie szanowny panie referencie!!!